

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Połów ryb w Chinach.

## Połów ryb w Chinach.

Jak niegdyś w Europie zaprawiano sokoły do polowania, tak w Chinach do połowu ryb używane bywają ptaki wodne, kormorany, czyli kruki morskie. Połów taki widział niedawno podróżnik dr. Piasecki; podajemy tu opis jego drukowany w *Wędrowcu*.

„Wiadomo, że Chińczycy używają kormoranów do łowienia ryb; od dawna szukałem sposobności przypatrzenia się temu zblizka. Pewnego rana, wyszedłszy na pokład, zobaczyłem dwóch Chińczy-

ków w łódce z temi ptakami. Prosiłem, żeby mię zabrali z sobą. Przystali na to chętnie i pomogli mi przejść do swęj łodzi z naszego statku.

Kormorany siedziały na kawałku drzewa słomą przykrytego. Zaczepione za jedną łapę, na szyi miały obręcze ze słomy, patrzyły na wodę z taką miną, jakby chciały powiedzieć: „Niema co się namyślać, czas już zaczynać”. Łódź zrazu odpłynęła dość daleko w górę rzeki, potem ją zwrócono poprzecznie i puszczono swobodnie z biegiem wody.

Chińczycy odczepili ptaki, niektóre same rzuciły się do wody, inne pospychano bez ceremonii.

Wszystkie pięć płynęły za łodzią, zanurzając się i wypływając znowu. Kormorany pływają szybko, dają nurka głęboko i długo mogą się utrzymać pod wodą. Właściciele pobudzali je wykrzyknikami, a zdawało się, że ptaki rozumiały głos panów. Jeśli powracały bez zdobyczy, wyglądały niezadowolone, sapały ciężko i warczały, jak psy. Jeden schwycił dużego karpia; rybacy wydali okrzyk radości i zaczęli pomagać co żywo kormoranowi, aby mu się nie wymknęła ryba, która wszelkich do tego dokładała usiłowań, chociaż ptak trzymał ją mocno zakrzywionym dziobem.

Kormoran stara się wsunąć głowę ryby w gardło, nim mu ją odbiorą, ale rybak jedną ręką chwytając ptaka za szyję, drugą rybę mu z dzioba wyrzyna i rzuca go znowu do wody. Ptak widocznie wie już z wczesna, że się na tym skończy, nie okazuje wcale złego humoru, wstrząsa głową, przepłókuje sobie gardło i daje znów nurka. Ptaki często powracały z rybami; gdy uловиły drobniejszą, przelykały ją szybko, ale obrączka słomiana na szyi nie przepuszczała ryby do żołądka. Chińczycy chwytali ptaka i zmuszali do wyrzucenia zdobyczy. Skoro się trafiła bardzo duża ryba, natychmiast drugi kormoran śpieszył na pomoc towarzyszowi i tak trzymały ją we dwóch. Czasem się sprzeczały i mruczały, a jeśli podczas tego nieporozumienia i szamotania się zdobycz im się wymykała, zanurzały się natychmiast, ale zwykle nadaremnie.

Jedne łowiły chętnie i żwawo, inne leniwie, pomimo nawoływań panów: „Oho, oho! Err-go, err-go! Aj, gaj-gaj! Aj-eu!“ i innych wykrzykników podobnych. Rybak się gniewał, krzychał, podskakiwał na łódce, w końcu zmuszał leniwca do posłuszeństwa.

Po godzinnej pracy, pozwolono wreszcie odpocząć tym *lan-sy* czy *lan-cy*, jak nazywają Chińczycy kormorany. Wydobyto je z wody i posadzono na drewnianym paliku. Otwierały dzioby, dysząc ciężko, potem zaczęły się otrząsać, rozpościerać skrzydła, trzymając je przez czas jakiś jak żagle rozpięte, żeby obeschły, gładzili sobie głowy i pierze równały. Nic im jednak jeść nie dano, bo łowią tylko wtedy, gdy są głodne.

Po półgodzinnym odpoczynku, połów rozpoczęły się na nowo; teraz, skoro który ptak przynosił dużą rybę, dawano mu małą w nagrodę. Kormorany nie oddały się nigdy zbyt mocno od łodzi, a gdyśmy się parę razy znaleźli w towarzystwie kilku innych statków, zawsze poznawały łódź swoją.”

## SEN.

Ach, mamó, kiedy tój nocy spałem,  
 Ległszy na swoje łóżecko,  
 To w snach tak dziwne widzenie miałem,  
 Ze... ale słuchaj, mateczko:  
 Ledwie strudzone zamknąłem oczy,  
 Chcąc skrzepić siły wywczasem,  
 Ujrzałem ogród cudny, uroczy,  
 I wdzięczną łączkę pod lasem.  
 A w tym ogrodzie, a na tój łące,  
 Pośród murawy zielonój,  
 Rosło lilijek białych tysiące  
 I wonnych fiołków miliony.  
 Wtém stanie przy mnie wysłaniec Boga,  
 Z gwiazdą promienną u czoła,  
 A ja poznałem w nim, matko droga,  
 Mojego stróża-aniola.  
 — Patrz — rzece do mnie — luba dziecino,  
 Tu kraj błogości niebieskiej,  
 Tu dla wybranych rozkosze płyną,  
 Tu cierpień ludzkich schną łożki,  
 I wonne kwiaty dokoła rosna,  
 To dusze czyste, bez winy,  
 One się wieczną radują wiosną,  
 Lśniąc wśród nadziemskiej krainy,  
 Spojrz na te lilie białe, śnieżyste,  
 W szatę odziane przezrocza,  
 Po której perły rosy kropliste,  
 Niby lzy z listków się toczą.  
 To są duszyczki onych biedaków,  
 Co w czasie swego istnienia  
 Szli wśród ciernistych żywota szlaków,  
 Zalani łzami cierpienia.  
 Widzisz te fiołki skromne, nadobne,  
 Co się z traw gęstych nie wnoszą;  
 Te dusze w cichą cnotę ozdobne,  
 Dla nich więc spokój — rozkoszą.  
 — Dla czego, powiedz, dobry aniele —  
 Spytam go wtedy nieśmiało,  
 — Różnych tu kwiatów rośnie tak wiele,  
 A róż nadobnych tak mało?  
 — Dla czego, pytasz, o drogie dziecię —  
 Odpowie anioł mój święty  
 — Bo mało takich dusz jest na świecie,  
 Co w wszech barw kwitną ponęty.  
 To są duszyczki, których cześć słynie  
 Po wszystkie czasy i wieki,  
 O nich wspomnienie nigdy nie zginie,  
 Żyjąc w przyszłości dalekiej.

Ludwik Nicmojowski.

## PAMIĘTNIK MŁODEJ DZIEWCZYNIE,

z angielskiego.

## I.

## Na pensyi.

Było to 5-go Marca, roku nie widzę potrzeby wymieniać; ranek był zimny i dziwnie ponury. Stałam przed kominkiem w sypialnym swoim pokoiku, grzałam ręce przy ogniu i zarazem spoglądałam w zwierciadło, na kominku stojące.

Nie mogę powiedzieć, żeby widok mojej twarzy sprawiał mi przyjemność; nie byłam wcale ładną i rzadko zazwyczaj patrzyłam w zwierciadło, jednak dnia tego nie mogłam oczu od niego oderwać. Bo też dzień ten był dla mnie z wielu względów wyjątkowym i ważnym, nie próżność też powodowała mną wcale, gdy przypatrywałam się własnemu odbiciu w błyszczącej tafli zwierciadła.

Dziś kończyłam lat trzynaście. Nikt wprawdzie nie zwracał uwagi na tę ważną okoliczność na pensyi, gdzie oprócz mnie mieszkało tyle innych uczennic, że obchodzenie urodzin byłoby się musiało za często powtarzać. Ta tylko była różnica, że towarzyski moje w takim dniu uroczystym odbierały zwykle listy z domu z powinszowaniem i życzeniami; Jania Allarden, daleko starsza ode mnie, kończąca już pensyą uczennica, pokazywała mi taki list przed tygodniem; mnie nigdy nie wydarzyło się nic podobnego.

Prawda że natomiast otrzymywałam na wiązaną piękne podarunki, dość kosztowne niekiedy, raz szal prawdziwy indyjski, to znów jakieś klejnoty, ale przesyłki te zwykle się opóźniały, nadchodziły w parę dni, lub w tydzień po urodzinach. Nic dziwnego, wysyłał je bowiem agent handlowy z Londynu na żądanie mojego ojca, a trudno, aby takiego agenta miały obchodzić urodziny małej pensyonarki. Towarzyski jednak zazdrościły mi po trochę tych pięknych podarunków, niejedna myślała zapewne, że to jest wielkie szczęście być córką pułkownika, mieszkającego w Indyach, walecznego pułkownika Liningtona. Odbierałam ja wprawdzie i listy od moich rodziców z Indyj, ale poczta z tąd oddalonych, zamorskiej krainy, nie dochodzi tak akuratnie, aby można było ztamtąd przesyłać powinszowania na dzień oznaczony.

Tym razem nie wyglądałam żadnego podarunku, ani spodziewałam się listu, większa daleko radość spotkać mię miała niezadługo. Ojciec, mama i mały, jedyny mój braciszek Janek, powracali do Anglii, byli już w drodze, a według obliczenia, w tych dniach mogli przybyć. Wiadomość

tę otrzymałam jeszcze we święta Bożego Narodzenia. Te święta, tak pożądane przez inne uczennice, dla mnie niczem się prawie nie różniły od dni powszednich, bo nie miałam do kogo wyjechać i spędzałam je na pensyi pani Dangerfield. Otóż od świąt Bożego Narodzenia przybyło mi nowe zajęcie; ile razy miałam chwilę swobodną, stawałam w oknie i patrzyłam na chorągiewkę, umieszczoną na wieżycze narożnej, patrzyłam, z której strony wiatr wieje. Rodzice mieli płynąć okrętem żaglowym, wiatr mógł przyspieszyć lub opóźnić ich przybycie, i ta chorągiewka nieraz mi się wydawała jakąś przyjazną istotą, dzielącą moje uczucia, moje nadzieje i pragnienia. Bo też w rzeczywistości ani jedna żywa dusza tych uczuć nie podzielała ze mną.

W tym czasie także zaczęłam skwapliwie przeglądać dzienniki. Właściwie szukałam w nich tylko na ostatniej stronicy wykazu okrętów, przybyłych do portu w Londynie. Ile razy weszłam do bawialnego pokoju przełożonej, chwytając natychmiast Czas, (Times) leżący zwykle na stole przed kanapą, a jeśli kto wszedł, sama nie wiem dla czego, udawałam, że czytam z wielką uwagą przegląd polityczny. Nie lubiłam rozmawiać z obcymi osobami o moich ukochanych rodzicach. Ale źle wyszłam na tej skrytości, bo raz nauczycielka, zastawszy mnie zagłębianą niby bardzo w dzienniku, zabrała mi go z rąk i powiedziała, że to wcale nie jest stosowne czytanie dla młodych panienek. Sprawa doniosła się do przełożonej, a ta zabroniła mi stanowczo dotykać dzienników.

Ja tak kochałam moich rodziców, a jednak, rzecz trudna do uwierzenia, znałam ich z imienia tylko, nie pamiętałam ich wcale. Gdy wyjeżdżali do Indyj, byłam malutkim dzieckiem, obawiali się zabrać mię z sobą, ażeby mię klimat tamtejszy nie zabił. Pozostałam więc z mamką u ciotki staruszki. Mamka odeszła, gdy mię odłączono, a ciotka umarła. Przechodziłam wówczas z rąk do rąk, a wszędzie byłam tylko obcą przybłądą, aż w końcu dostałam się do zakładu naukowego pani Dangerfield.

Ponieważ żadna z tych osób, u których chwilowo przebywałam, nie okazywała mi zbytniej czułości, więc i ja nie przywiązałam się do nikogo. Na pensyi przełożona i nauczycielki były dla mnie dobre, tak samo, jak i dla innych uczennic, ale tyle nas tam było, że z uczuć, pomiędzy wszystkie rozdzielonych, niedużo się każdej dostawało. I trudno się temu dziwić. Nieraz też sobie myślałam, kładąc się wieczorem do łóżka, że gdybym tak nie przebudziła się rano, ani jedna istota w całym domu, ani nawet w całym kraju, nie zapłakałaby za mną. Czasem jednak przychodziło

ni na myśl, że Jania zapłakałaby może troszeczkę. Jania Allarden była to panienka uboga, tak zwana półstypendystka, co znaczy, że tylko połowę zwykłej ceny opłacano za nią na pensyi, ona zaś za to miała obowiązek dawać korepetycyje w niższych klasach i różne spełniać posługi. Bogatsze koleżanki często z góry patrzyły na Janię, ja także uchodziłam za bogatą i dużo miałam wrodzonej dumy, ale musiała to być duma innego rodzaju, bo właśnie do Jani jednej przylgnęłam trochę, z żadną inną panienką na pensyi nie byłam na stopie przyjaźni.

Cóż dziwnego, że z takiem upragnieniem wyglądałam przybycia rodziców? Pisali wprawdzie, że tylko rok lub dwa pozostaną w Anglii, bo ojciec nie zbierał jeszcze tyle funduszu, aby się na stałe tu mógł osiedlić, ale teraz przybyć musieli koniecznie, bo oboje byli niezdrowi i lekarze zalecili im zmianę klimatu, a potem czas już było myśleć o wychowaniu małego Janka. „Smutno nam będzie z nim się rozstać, powracając do Indyj“, pisała mama, a ja myślałam sobie, że o rozstaniu ze mną zapomnieli już chyba i uczułam w sercu coś nakształt zazdrości dla tego braciszka.

Pisali także nieraz rodzice, że Janek był bardzo ładny chłopczyk, może też w części i dla tego wpatrywałam się tak długo w zwierciadło owego rana. Wcale jednak nie byłam zadowolona z widoku, który się oczom moim przedstawiał; spróbuję też z pamięci skreślić tu wizerunek mojej osoby tak, jak w owym czasie wyglądała. Miałam twarz szeroką, usta szerokie i nos szeroki, trochę zadarty. Pocieszałam się czasem myślą, że oczy muszą mi wdzięku dodawać, bo duże, błękitne oczy nie mogą być bardzo brzydkie; nie były też brzydkie z pewnością i włosy długie i gęste, ciemno- płowe, które mi dużo przyczyniały kłopotu przy czesaniu. Ale wrażenie ogólne było bardzo niekorzystne; pewna jestem, że każdy, kto spojrział na mnie po raz pierwszy, musiał sobie pomyśleć: Cóż to za brzydka dziewczyna! Zdarzało mi się czasem dotykać tego niemiłego przedmiotu w poufnych rozmowach z Janią. I ona także przyznawała, że ładną nie jestem, dodawała jednak zaraz:

— Masz bardzo przyjemny wyraz twarzy, a w uśmiechu tyle słodczy, że wcale brzydko nie wyglądasz.

Na nieszczęście miałam zdolności do rysunku i umiałam się poznać na tém co ładne, a co brzydkie, byłam też przekonana, że taka twarz, jak moja, mogłaby malarzowi posłużyć tylko do odmalowania szpetnej kobiety.

Owego pamiętnego dnia, gdy ukończyłam lat trzynaście, zdało mi się, że jestem brzydsza jesz-

cze niż zwykle, bledsza, mizerniejsza, okropna! I to teraz właśnie, gdy ojciec i mama mieli przyjechać niezadługo, ojciec i mama, którzy niezawodnie wyglądali pięknie i okazale; nie wątpiałam o tém, chociaż nigdy nie widziałam nawet portretów moich rodziców. W owych czasach fotografie nie były jeszcze tak rozpowszechnione, jak teraz. Czy oni będą mogli mnie pokochać? myślałam z goryczą, jakże się im wydam przy ślicznym moim braciszku? Ale na to nie było rady, brzydota zresztą nie jest grzechem, należało więc zgodzić się z wolą Bożą.

Tak mówił rozsądek i usłuchałam wreszcie głosu rozsądku, odwróciłam się od zwierciadła, przestałam myśleć o swojej powierzchowności, nie mogłam jednak się rozweselić, jakiś ciężar serce mi przytłoczył.

Było jeszcze bardzo wczesnie, ubierałam się do śniadania, gdy wtém niespodzianie zastukano do drzwi. Serce zaczęło mi bić gwałtownie, sama nie wiedziałam, co to być mogło, ale z pewnością coś niezwykłego. Drżącym głosem wymówiłam: „Proszę“. Pani Dangerfield w własnej osobie weszła do pokoju. Najpierw spojrzałam dokoła niepokojnym wzrokiem, czy niema jakich wielkich nieporządków na stoliku i na podłodze, ale nie miałam czasu sprawdzić tego, bo przełożona odezwała się z uśmiechem uprzejmym:

— Mam tu dla ciebie ciekawą wiadomość, moja droga Emilko — a mówiąc to, podawała mi świeży numer dziennika, niedawno zabronionego dziennika.

Nie wiele myśląc, wyrwałam go z jej rąk, bo odgadłam odrazu wszystko, rzuciłam okiem na ostatnią stronicę, szukając wiadomości o okrętach i wyczytałam: „Przybył do portu żaglowiec Burhampore z Indyj wschodnich“. Statek, ua którym płynęli rodzice! O, cóż się działo ze mną! Rozplakałam się, jak małe dziecko, nie zważając na obecność przełożonej.

— Uspokój się, moja Emilko — mówiła pani Dangerfield — uczucia twoje są bardzo chwalebne, ale staraj się uspokoić.

Pani Dangerfield nigdy dzieci nie miała, a sama już bardzo dawno przestała być dzieckiem, to też czułam, że mówiąc o moich uczuciach, nie rozumiała ich wcale i słowa jej miały właśnie ten skutek, jakiego żądała, powstrzymałam się od płaczu, bo mi wstyd było, że po raz pierwszy wynurzam się przed osobą obcą i obojętną. Otarłam oczy i usiadłam na krześle wyprostowana, jak struna.

— Jak to dobrze, że jesteś rozsądna — rzekła przełożona — trzeba zawsze umieć panować nad sobą, jest to najlepszym znakiem dobrego wycho-

wania. A teraz pozwól sobie powinszować, moje dziecko. Jakkolwiek rodzice twoi wczoraj późnym wieczorem dopięro stanęli w porcie, pewna jestem, że tu będą niezadługo, za parę godzin, a może i prędzej.

— Za parę godzin, lub prędzej! — powtórzyłam cichuteńko, cała drżąca.

— Przygotujże się, moja droga, na przyjęcie rodziców; uwalniam cię dziś od lekcyj, a nawet i śniadanie ci tu przysyłę.

Była to wielka łaska, ale zapomniałam zupełnie podziękować; przełożona wyszła, a ja chwyciłam się za głowę, sama nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, zdawało mi się, że pokój cały kręci się koło mnie. Pamiętam, jak przez sen, że służąca wniosła śniadanie, a za nią wbiegła Jania, rzuciła mi się na szyję i rozplakała się razem ze mną. Jania musiała powrócić natychmiast do ogólnej sali, bo i tak już z mojej przyczyny porządek w zakładzie był naruszony, co nie często się wydarzało. Słyszałam lekkie stapania w korytarzu i szepty moich koleżanek, przebiegających przed drzwiami mego pokoiku; szczęśliwe te dziewczęta nieraz witały, to ojca, to matkę, którzy przyjeżdżali je odwiedzać na pensyi, teraz i ja przecież wyglądałam rodziców.

Po śniadaniu rozpoczęło się niecierpliwie, niespokojne oczekiwanie. Myśli płątały się dziwnie w mojej głowie; co też rodzice powiedzą o mnie, jak im się wydam? Zaczęłam rozmyślać nad tem, jakby się ubrać na ich przyjęcie, bo w pośpiechu, gdy przełożona zastukała, narzuciłam jakiś ranny szlafroczek i dotąd w nim pozostałam. Otworzyłam więc szafę i zaczęłam oglądać wszystkie sukienki swoje, jedną po drugiej, a miałam ich dosyć, niektóre były strojne i kosztowne, rodzice nietylko na urodziny przysyłali mi piękne podarunki. Wtém nagle przyszła mi rozsądniejsza myśl do głowy: czyż rodzice będą patrzali na moje ubranie? serce ich rwie się zapewne do mnie samej, do dziecięcia, niewidzianego od tak dawna, bo oni mię kochają. I postanowiłam zapomnieć zupełnie o ubraniu i powierzchowności, a przyjąć rodziców z uczuciem kochającej córki, prosto, bez żadnego przygotowania.

Wyjęłam więc z szafy skromną sukienkę popielatą merynosową, Jania mówiła, że mi w niej bardzo do twarzy, przycesałam włosy gładziutko i ubrałam się żwawo, aby być gotową. Nie mogłam jednak usiedzieć na miejscu, wybiegłam ze swego pokoiku, wiedziałam, że wszystkie uczennice i nauczycielki są w klasach, więc nikogo nie spotkam, a nie miałam ochoty rozmawiać z nikim; błędziłam po korytarzach i weszłam w końcu do salonu, gdzie także było pusto i cicho. Ach! jakże

mi się czas wydawał długi, jak godziny wlokły się nieznośnie!

Nakoniec lekcye się skończyły, Jania przybiegła do mnie, a widząc, co się ze mną działo, radziła, abym się wzięła do jakiej roboty. Czyż ja byłam w stanie teraz robić cośkolwiek? Dobra przełożona to rozumiała i dla tego mię od lekcyj dziś uwolniła. Dzwonek się ozwał, wzywając na obiad, a ja śpiesznie uciekłam do swego pokoju, błagając Jani, aby poprosiła o przysłanie mi tam obiadu. Strach mię przejmował na myśl, jak wszystkie oczy ciekawie zwrócą się na mnie, gdy się u stołu ukazę. Co ja im powiem, jeśli zapytają, czemu rodzice dotąd nie przybyli, chociaż od wczoraj są w Londynie? A może jakiś ważny interes zatrzymał ich na okręcie, może... serce moje krajało się na tę myśl okrutną, może nie bardzo im było pilno obaczyć córkę, gdy mieli przy sobie ukochanego synka. Ale nie, nie, to niepodobna. I wyjmowałam ostatnie ich listy, odczytywałam je, płacząc z radości i niepokoju.

— Tatko! mamó! — powtarzałam raz po raz półgłosem, chcąc się oswoić z nieznanym dźwiękiem tych wyrazów, ażebym mogła je wymówić, gdy ujrzę te obce twarze osób tak blizkich i tak ukochanych. Usiłowałam sobie przedstawić w wyobraźni, jak oni wyglądają? wyjęłam pukiel włosów matki, który mi przysłała kiedyś; podobne były zupełnie do moich. Mamó! mateczko! czy ty mię pokochasz? pytałam, całując te włosy. O, co do mnie, czułam, że ją kocham całym sercem, całą duszą. A tak myśląc o niej, zapomniałam zupełnie o sobie i o swojej brzydocie, która mnie tak martwiła zrana.

Dzień był krótki, zimowy, słońce zniżało się ku zachodowi, mnie coraz cięższy smutek ogarniał. Czułam się blizką rozpaczki, gdy Jania wbiegła nagle do mego pokoiku.

— Emilciu, jakiś powóz zatrzymał się przed domem — rzekła — słyhać, jak drzwi się otwierają.

I ja to słyszałam także i zaczęłam drżeć jak listek. Po chwili zerwałam się i biegłam do drzwi, jak szalona.

— Emilciu, Emilciu, poczekaj! — rzekła Jania, zatrzymując mnie — nie idź sama, pani Dangerfield przyśle po ciebie, jeżeli to oni.

— Nie, nie! — wołałam rozpaczliwym głosem — nie mogę czekać, to oni, niezawodnie oni, i nikt w świecie nie zabroni mi wybieść naprzeciw ojca i mamy.

Biegłam więc dalej i w mgnieniu oka stanęłam u drzwi salonu. Pani Dangerfield otworzyła je, zatrzymała mię na progu i dziwnym głosem rzekła:

— To ty, dziecko? proszę cię, poczekaj, wróć do swego pokoju.

Ale ja na nic nie zważałam, odepchnęłam ją prawie i wbiegłam do salonu. Spozstrzegłam tam trzy obce postaci, zdaje mi się, że je widzę jeszcze, obraz ten nigdy nie zatrze się w méj pamięci. Na środku stał mężczyzna w stroju marynarza, kapitana okrętu, na krześle, przy progu, siedziała kobieta o cerze brązowej, Indyanka, i trzymała na kolanach małego, mizernego chłopczyka.

— To twój braciszek, Emilko — rzekła przełożona, zawsze tym samym dziwnym głosem, który mi serce ścinał lodem — chodźże go uściskaj.

Chłopczyk odwrócił się odemnie, jakby przełknięty.

— Ale gdzie tatko? gdzie mama? — wołałam, nieprzytomna prawie, i jakby przez sen usłyszałam odpowiedź:

— Już ich niema. Oboje złożeni w grobie na skale Ś-ěj Heleny.

## II.

Ciężkie chwile. — Dobroczynca nieznanym.

Okrutna to jest rzecz, gdy śmierć po raz pierwszy nawiedzi świat dziecięcia, które wszystkich ukochanych swoich uważało dotychczas za nieśmiertelnych. Ze wszystkich możliwych, najstraszniejszych przypuszczeń, to jedno tylko nigdy mi ani na chwilę w głowie nie powstało, ażebym mogła utracić ich na wieki... utracić ich, nie spojrzawszy ani razu w ich ukochane twarze, nie przemówiwszy do nich drogiemi imionami: „Ojczel! matko!” Cios to był straszny, niespodziewany i gdy się ocknęła z okropnego wrażenia, byłam zupełnie inną istotą. Od owego pamiętnego dnia urodzin, gdy skończyłam lat trzynaście, przestałam być dzieckiem. Wszystko to wydało mi się dziwne, niepojęte, dziś jeszcze ta wyspa skalista, stercząca wśród rozległego oceanu, przy której wypoczywają okręty indyjskie, gdzie zamknął oczy wielki Napoleon, przedstawia się czasem mojej wyobraźni w jakimś fantastycznym świetle. Zdaje mi się, że tam ci nieznanzi, niewidziani rodzice czekają na mnie i na Janka.

Ale czas już powiedzieć coś więcej o tym braciszku, który po raz pierwszy ukazał się oczom moim skrzywiony, rozgrymaszony, tulący się lekko do łona indyjskiej swój piastunki. Wydał mi się takim mazgajem, takim grymaśnikiem!.. Spodziewam się, że to wspomnienie nie obrazi mojego braciszka, który dziś wcale inaczej wygląda. Wtenczas jednak, wyznając, że wywarł na mnie wrażenie przykre prawie, wzbudził we mnie coś naksztalt wstrętu... o nie, myślę się, to nie był wstręt, tylko

tak mi się jakoś zimno robiło, patrząc na niego... On zaś, o, jakże długo zapomnieć o tém nie mogłam! on się odwrócił odemnie i płakać zaczął, gdy się do niego zbliżyłam. Lecz w téj saméj chwili usłyszałam wieść straszną, pociemniało mi w oczach, i nie wiem, co się dalej stało.

Pamiętam tylko, że gdy znów byłam w stanie myśli zebrać, siedziałam w swoim pokoiku; noc już była i świeca paliła się na stole. Siedziałam sama jedna przy łóżku, nie, nie sama jedna, gdyż słyszałam oddech śpiącego dziecka; Janek spał na łóżku mojem, a ja czuwałam przy nim. Dziwny zamęt panował w moich myślach; nie mogłam pojąć, jakim sposobem w tym cichym pokoiku wszystko pozostało niezmienione, zupełnie tak samo, jak było przed tą straszną burzą, która wybuchła nad moją głową i takie spowodowała zniszczenie. Nic mi już nie pozostało na szerokim świecie, tylko ta dziecina, którą na rękę przeniosłam śpiącą do swego pokoju i położyłam na własnej pościeli. To więc był braciszek, o którym tak często myślałam, mój malutki Janek.

Odsunęłam firanki i przypatrywałam mu się w milczeniu. We śnie nie był już taki skrzywiony i daleko lepiej wyglądał. Teraz, gdy rysy jego uspokojone nie miały już tego płacznego, rozkapryśzonego wyrazu, wydały mi się bardzo regularne i ładne. Przypomniałam sobie dawny list jakiś, w którym matka pisała, że Janek podobny jest do niej i natężonym wzrokiem wpatrywałam się w tę drobną twarzyczkę, usiłując odgadnąć, jak wyglądała tamta, podobna do niej... i w téj chwili w sercu mém rozżaloném zbudziło się uczucie wielkiej litości dla téj wątłej, mizernéj istoty, która mi pozostała w jedynéj spuściźnie po matce ukochanéj, zapomniałam zupełnie, że to rozkapryśzone dziecko odwracało się odemnie z niechęcią.

Pochyliłam się nad niem i pocałowałam ostrożnie pukiel jasnych włosów, spływający na poduszkę, a malec przez sen brwi zmarszczył; dotknęłam lekko ręką jego paluszków zaciśniętych, cofnął rączkę machinalnym ruchem. Z daleka więc tylko mogłam patrzeć na niego, snując smutne myśli o przyszłym naszym losie. Zastanawiałam się nad tém, jakim sposobem takie biedne, opuszczone sieroty, jak my, będą mogły sobie dać rady na tym świecie? potem rozbieierałam w duszy pytanie, czy potrafię tak ukochać mego małego braciszka, aby i on także przywiązał się do mnie? Bo zawsze sądziłam i dziś sędzę, że tylko miłość może wzbudzić wzajemne uczucie.

W téj chwili nie kochałam go jeszcze, nie było to w mojej mocy, chociaż nie patrzyłam nań obojętnie; a gdy tak czuwała i rozpamiętywała nad tém straszném naszym nieszczęściem, w duszy mo-

ęj coraz wyraźniej występowało bezwiednie prawie poczucie obowiązku.

Minęło tak dwa dni, z których nie umiem sobie dokładnie zdać sprawy; zdaje mi się, że biedny mój Janek nieustannie przez ten czas płakał i grymasił, zwłaszcza przed zaśnięciem, domagając się, aby go indyjska piastunka rozbierała i siedziała przy nim. Ale kobieta ta pierwszego zaraz wieczora odeszła, oddawszy paczkę z bielizną i sukienkami dziecka i nie pokazała się więcej. Słyszałam nieraz, że indyjskie sługi przywiązują się niezmiernie do dzieci europejskich, które piastują, ta widocznie była wyjątkiem, bo opuściła małego Janka bez najmniejszego żalu.

Siedziałam więc trzeciego dnia wieczorem, jak zwykle, przy śpiącym braciszku, przeglądałam i układałam jego rzeczy i wzdychałam ciężko, bo teraz, gdy już powoli straszliwy zamęt uciszał się w mojej głowie, z coraz większym przerażeniem myślałam o tém, jaki to kłopot spadł na mnie obok nieszczęścia, i jak mi trudno będzie radzić sobie z tém dzieckiem wątłym i rozgrymaszonym. Miałam się już i sama położyć na materacu, rozłożonym na ziemi obok łóżka, gdy wtém zastukało do drzwi i weszła jedna ze sług.

— Pani prosi panienki do siebie — rzekła.

— Ale ja nie mogę odstąpić mego braciszka — odpowiedziałam dość opryskliwie.

— Malec śpi przecież — mówiła ta kobieta — a pani musi mieć coś ważnego do powiedzenia panience i czeka w salonie.

Sama nie wiedziałam dla czego mnie nowy strach ogarnął, okryłam Jankę starannie i zesłam do salonu. Pani Dangerfield nie była zła, chociaż wydawała mi się trochę zimną; starała się osłodzić mi o ile możności przykre szczegóły, o których jednak koniecznie dowiedzieć się musiałam. Powiedziała mi więc, o ile mogła najdelikatniej, że położenie moje majątkowe całkowicie się zmieniło ze śmiercią rodziców, którzy nie pozostawili dzieciom żadnych funduszów, żadnych środków do życia, oprócz skromnej bardzo pensyi, wyznaczonej przez rząd dla sierot po ubogich oficerach. O ile sobie przypominam, ojciec mój podobno prowadził w Indyach jakieś spekulacye, które się nie powiodły i pochłonęły wszystko, co posiadał; może to zmartwienie przyspieszyło śmierć rodziców. Nie zrozumiałam dobrze tych szczegółów, tyle tylko jasnym było dla mnie, że należność pani Dangerfield za moje utrzymanie na pensyi nawet za rok bieżący nie była opłacona, nie miałam więc żadnego prawa dłużej tu pozostawać.

— Zważywszy jednak na smutne okoliczności i na pilność twoją w naukach, droga Emilko — mówiła przełożona — gotowa jestem zatrzymać

cię w moim zakładzie jako półstypendystkę, bo na to wystarczą twoje fundusze. Po ukończeniu nauk mogłabym cię zatrzymać, jako dozorczynią lub nauczycielkę, przyszłość twoja byłaby zatem zapevniona. Co do chłopczyka...

(D. c. n.)

## KRÓL BOHATER.

Opowiadanie historyczne.

przez starego nauczyciela.

### I.

Było to w r. 1661. Ponure dźwięki dzwonów pogrzebowych obwieściły mieszkańcom Żółkwi zgon dostojnej pani zamku, Teofili z Daniłowiczów Sobieskiej, kasztelanowej krakowskiej. Mężna niewiasta, tylu strasznemi ciosami nawiedzona, miała nareszcie spocząć w grobie ojców, niedoczekawszy nawet tej smutnej pociechy, aby w nim złożyć zwłoki ukochanego syna, którego przez lat dziewięć oplakiwała.

Tłumy ludności zebrały się w podwórzach zamkowych, większość, jak to zwykle bywa, wiedzona ciekawością, chęcią ujrzania zbliżka przepychu, towarzyszącemu pogrzebom bogaczy. Lecz jakież było zdziwienie powszechne, gdy ujrzano skromny, ubogi prawie kondukt, który odprowadzał na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki kasztelanowej Sobieskiej, jednej z najbogatszych pań w kraju, żony, córki, wnuczki najwyższych dostojników. Ale szepty służby zamkowej wkrótce zagadkę tę rozjaśniły. Dowiedziano się, że pani kasztelanowa w testamencie zastrzegła, aby pogrzeb jej był ubogi, „jak przystoi matce syna ulubionego, którego kości bez pogrzebu spoczęły w ziemi niepoświęconej:“

Marek Sobieski, syn jej pierworodny, w którym największe pokładała nadzieje, zginął w krwawym pogromie pod Batowem, gdzie padł kwiat rycerstwa polskiego z hetmanem Kalinowskim na czele. Klęska to była straszna, o jakiej przedtem nie słyszano w dziejach; cały oddział wyginął co do nogi, mściwe tatarstwo wymordowało wszystkich jeńców, nie było komu nawet wieści przynieść o tém, co się tam stało, krążyły też przez czas długi najrozmaitsze pogłoski. Nigdy nie dowiedziano się na pewno, jaka była przyczyna takiego bezprzykładnego okrucieństwa, czy rzeź batowska była dziełem Bohdana Chmielnickiego, czy tatarskich chanów. I Marek Sobieski, tak samo jak inni, zaginął bez wieści, niewiadomo, czy padł na placu bitwy, czy pod mieczem kata; pokilkakrotnie nawet rozpuszczano pogłoskę, że żyje w niewoli bisurmańskiej,

a serce nieszczęsnej matki, ożywione na chwilę nadzieją, tém boleśniej krwawiło się raz po raz w tój niepewności.

Tak więc z wyraźnej woli pani kasztelanowej pogrzeb jój odbywał się bez żadnej okazałości, a syn pozostały, jedyny już teraz spadkobierca znakomitego rodu, Jan Sobieski, starosta jaworowski, chorąży koronny, obwieścił tę wolę zmarłej światu, umieszczając przy trumnie tablicę z napisem: *Sic mater voluit.* (Tak matka chciała).

Lecz dnia następnego nowe zdziwienie czekało mieszkańców Żółkwi. Po raz drugi ozwały się żałobne dźwięki dzwonów i po raz drugi dążyły tłumy ciekawe do kościoła ks. Dominikanów, ufundowanego przez nieboszczkę pod wezwaniem Ś-go Marka, poświęconego pamięci utraconego syna. Obrzęd pogrzebowy rozpoczął się na nowo, lecz o ile wczorajszy był skromny i ubogi, o tyle ten odznaczał się przepychem i okazałością. Na tablicy, umieszczonej przy trumnie, czytano napis, *Sic filium decuit.* (Tak synowi przystało). Jan Sobieski spełnił najprzód życzenie matki, a potem sercu własnemu dogodził.

Ucichły wreszcie odgłosy dzwonów i pienia żałobne, rozjechali się liczni goście, rozeszły się tłumy, a Jan Sobieski pozostał sam na zamku. A gdy wśród wieczornego mroku przechadzał się po tych ponurych, samotnych komnatach, w duszy jego budził się coraz żywiej cały obraz przeszłości starego rodu, obraz bohaterską chwałą owiany, męczeńską krwią uświęcony, coraz jaśniej wynurzały się przed oczyma jego wyobraźni postaci rycerzy w stal okutych, mężów niezłomnych, którzy z mieczem w rękę padli w obronie wiary i ojczyzny. A wszyscy spoglądali na niego i zdawali się pytać: Nigdyż krew nasza nie będzie pomszczona?

O tój przeszłości, której wspomnienia wykołysały młodość Jana Sobieskiego, musimy tu wspomnieć w kilku słowach. Przy końcu XVI wieku hetman Stanisław Żółkiewski położył pierwsze podwaliny obronne zamku, który od nazwiska swego nazwał Żółkwią. A były tam w sąsiedztwie dwa inne zamki, Olesko i Złoczów; w Olesku mieszkał Jan Daniłowicz, wojewoda ruski, w Złoczowie Jakób Sobieski, wojewodzie lubelski, później wojewoda ruski i kasztelan krakowski. Takie obronne siedziby niezbędne były w owych czasach, zwłaszcza na Rusi Czerwonej, gdzie pogaństwo nieustannie zapuszczało krwawe swoje zagony.

Trzy znakomite rody, w trzech sąsiednich zamkach zamieszkałe, wkrótce połączyły się z sobą blizkimi związkami pokrewieństwa. Najpierw pan Daniłowicz ożenił się z Zofią Żółkiewską, córką hetmana, a następnie Teofila Daniłowiczówna, urodzona z tego małżeństwa, wnuka hetmańska,

wyszła za Jakóba Sobieskiego. A tak w tych trzech domach przebywały trzy pokolenia jednego rodu po kądzieli.

Niewiasty tych domów odznaczały się wszystkie niepospolitemi cnotami, mężowie rycerskimi, bohaterскими czynami, szczególnie w walkach z pogaństwem, z Turkami i Tatarami. Padali też jeden po drugim, pozostawiając ogniska swoje osieroczone. Hetman Żółkiewski zginął pod Cecorą, a syn jego jedyny, Jan, wielkim okupem wyzwolony z niewoli tureckiej, umarł wkrótce w skutek ran, na polu cecorskiem odniesionych. Obaj pochowani w kościele żółkiewkim; zwłoki hetmana kryje czarny grobowiec marmurowy z napisem: „Jak słodko i chlubnie umierać za ojczyznę, odemnie ucz się...” Obok wznosi się skromniejszy pomnik syna, a na nim napis: „Wielkiego rodzica, do wielkich rzeczy zrodzony syn jedyny.“

Dobra Żółkiewskich wraz z zamkiem przeszły prawem spadku na zięcia hetmańskiego, Jana Daniłowicza, a po jego śmierci na syna jedynego, Stanisława. Ten także, idąc w ślady sławnego dziada, walczył mężnie z dziczą tatarską, świętne odnosił zwycięstwa, lecz w końcu obsadzony na dzikich polach Ukrainy przez siłę przemagającą, dostał się do niewoli i zginął śmiercią męczeńską, zamordowany z rozkazu okrutnego murzy Kantemira w jego obozie. Wierny towarzysz broni, domownik rodziny Żółkiewskich, odwiózł ciało bohaterskiego młodzieńca do kraju; złożono je obok dziada i wuja, a na grobowcu wyryto napis: „Niedoszły mściciel dziada swego...”

Za pogrzebem postępowała siostra Stanisława Daniłowicza, Teofila Sobieska, wiodąc za rękę dwóch synków swoich, siedmioletniego Marka i o rok i trzy miesiące młodszego Jana. Nikt jeszcze wówczas przewidzieć nie mógł, że ten dopiero stanie się prawdziwym mścicielem wszystkich bohaterów, spoczywających w grobach rodzinnych w Żółkwi.

Wygasał więc i dom panów oleskich, a cała spuścizna dwóch znakomitych rodów, Żółkiewskich i Daniłowiczów, przechodziła teraz przez Teofilę na synów jój, Marka i Jana Sobieskich. Sobiescy herbu Janina początek swój wywodzili z Sobieszyna w Lubelskiem. Wojewoda sandomierski Janina, protoplasta rodu i herbu, wojować miał z Jadźwingami jeszcze za czasów króla Leszka Czarnego. Przy końcu XVI wieku Marek Sobieski osiedlił się w Złoczowie, nabytym od Sienińskich i Góraków. Ów Marek, wojewoda lubelski, wstawił się za Stefana Batorego, jako rycerz wielkiej waleczności. Był to ojciec Jakóba, dziad Jana.

Po śmierci króla bohatera znaleziono pomiędzy



papierami jego własnoręcznie spisane szczegóły o rodzie Sobieskich, na początku opowiada on w krótkości o wojewodzie sandomierskim, który wojował z Jadźwingami, a potem mówi: „Nie wspominał innych wielkich ludzi i wielkich ekspedycji

dzoną domu mojego z pogany antypatją.“ Przechodzi potem do dziada swego, Marka, wojewody lubelskiego, o którym mówić miał król Stefan: „gdyby całego królestwa fortuna od jednego harcu zawisła, nikomu bym bezpieczniej w tym razie



Wieśniacy z Pokucia (str. 651).

z różnemi tego królestwa nieprzyjaciółmi, a tylko wojny pańskie (z poganami) chcę wspomnieć i tych, co ziemie pogańskie skropili krwią swoją, a mnie dali i zostawili okazyją zemsty i niby jakąś przyro-

nie dufał, jeno Sobieskiemu.“ O czynach wojewody lubelskiego się nie rozwodzi jednak bohaterski wnuk, Jan Sobieski, dla tego „że walczył on tylko z chrześcijanami.“

Szerzěj za to opowiada o ojcu swoim, Jakóbie Sobieskim, który słynął i z waleczności, i z niepospolitego rozumu, i z krasomówstwa. On to na wszystkich pogrzebach, których za czasów jego tyle odbyło się w Żółkwi, wygłaszał mowy żałobne. Jakób Sobieski zaprawiał się do boju pod rozkazami hetmana Żółkiewskiego, brał udział w wielu wyprawach ówczesnych, utrzymując własnym kosztem chorągwie usarskie, które dla waleczności i okazałej postawy wojowników złotemi chorągiewami zwano. W sławnej wojnie Chocimskiej mianowany był członkiem komisji, upoważnionej przez sejm do kierowania czynnościami wojennymi, potrafił zawrzeć pokój z sultanem Osmanem. Odtąd powierzano mu najważniejsze układy z ościeniami mocarstwami. Czterykroć wybierany był marszałkiem sejmu, a przechodząc na coraz wyższe dostojeństwa, otrzymał w końcu godność pierwszego senatora świeckiego w kraju, to jest kasztalania krakowską.

Niedziw, że cała ta przeszłość wielkie wywierała wrażenie na umyśle młodego Jana, a gdy przez szereg smutnych wypadków, śmierć Jana Żółkiewskiego, brata jego babki, Stanisława Daniłowicza, wuja, w końcu Marka Sobieskiego, starszego brata, ujrzał się spadkobiercą trzech domów, trzech rodów bohaterskich, zapragnął gorąco stać się zarazem i dziedzicem ich chwały, wielkich zasług i poświęceń. Wrażliwa wyobraźnia młodzieńca upatrywała także przepowiednię wyższych przeznaczeń w niezwykłych zjawiskach, które towarzyszyły urodzeniu jego. 17 Sierpnia r. 1629 straszliwa burza srożyła się nad zamkiem Oleskim, huk gromów był tak przerażający, że kilku dworzan ogłuchło na całe życie, mury zamku wstrząsały się w posadach swoich, a wśród tego zamętu przyrody, wśród piorunów i błyskawic, przyszedł na świat w domu dziadka swojego, Jana Daniłowicza, na pamiątkę jego tём samém imieniem nazwany, Jan Sobieski, drugi syn Jakóba i Teofli z Daniłowiczów. W tymże samym czasie spadła na ziemię ruskie straszniejsza jeszcze nawałnica tatarska i odparta była z takim powodzeniem, jakiego nigdy nie pamiętano jeszcze.

Toofila Sobieska była to nieodrodna wnuka wielkiego hetmana, niewiasta mężnego ducha, chowała też synów swoich na wzór rzymskich i spartańskich matron. Od lat niemowlęcych wskazywała im przykłady bohaterskich przodków, uczyła czytać napisy, na grobach ich wyryte. Oboje rodzice szczególnie miłowali pierworodnego syna, Marka, wielkie w nim pokładając nadzieje; matka zwłaszcza całym sercem do niego przyłgnęła, młodzieniec ze wszech miar na to zasługiwał, niezwykle okazywał zdolności umysłu i przymioty serca, łagodniej

szy był, rozważniejszy od młodszego brata, który nieraz porywcznością i niesfornością swoją ściągał na siebie ich niezadowolenie.

Jakób Sobieski, sam wielce światły i uczony, nie szczędził starań, aby synom swym dać jak najlepsze wychowanie. Gdy więc Marek ukończył lat jedenaście, a Jan dziesięć, wyprawił ich ojciec na nauki do Krakowa, pod opieką zaufanego ochmistrza, pana Orchowskiego; sam przytém ułożył obszerną i szczegółową „Instrukcyą“ według której mieli młodzi wojewodzice urządzać życie swoje w Krakowie. Troskliwy ojciec nie zapominał tam o niczém, zalecał synom pobożność, pilność w naukach, posłuszeństwo przełożonym, koleżeńską uprzejmość dla rówieśników, przestrzegał też aby brat starszy, jako przyszła głowa domu, zawsze pierwszeństwo miał przed młodszym, który mu winien był uszanowanie. „Młodszy niech starszego szanuje, starszy niech młodszego miłuje.“ Jako dzieci magnackie, panięta mieszkaly w domu osobnym, miały dwór liczny, przyjmowano tam nawet gości, wydawano obiady, zachowywano stosowny ceremoniał.

Po przebyciu lat kilku w Krakowie, w r. 1645, młodzi wojewodzice Sobiescy wyruszyli, zwyczajem owych czasów, na dokończenie wychowania zagranicę, najpierw do Paryża, gdzie na dworze królewskim byli przyjmowami. Tu młodzieńki Jan wstąpił do muszkietierów francuzkich, a chociaż lubił tańce i wesołe zabawy, nieraz jednak odrywał się od tych uciech, wiekowi swemu właściwych, by prowadzić poważne rozmowy z największym wojownikiem owego stulecia, sławnym Konduszem, i zadziwiał go trafnością zdań swoich i głębokością poglądów.

Podróżowali też obaj bracia i w innych krajach europejskich, zajrzeli nawet do Konstantynopola, gdyż ojciec życzył sobie, aby poznali zblizka to gniazdo najstraszniejszego wroga Polski i kazał ich wyuczyć języka tureckiego jednocześnie z francuzkim. Mieli dotrzeć aż do Azji Mniejszej, gdy wiadomość o ważnych wypadkach w kraju powołała ich w progi rodzinne. Było to w r. 1648, już od dwóch lat nie żył Jakób Sobieski, a owdowiała jego małżonka musiała się schronić aż do Zamościa przed groźną nawałą nieprzyjacielską. Po śmierci króla Władysława IV wybuchły w kraju straszne zawichrzenia. Zbuntowane kozactwo, pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, ufne w pomoc Tatarów, wystąpiło zuchwale do walki, rycerstwo zaś polskie, zebrane pod Pilawcami, strwożone rozpuszczonemi naumyślnie pogłoskami o zbliżeniu się nieprzeliczonych ord tatarskich, haniebnie uszło z placu boju. Smutna to karta

naszej historii. niedarmo też wyprawę tę przezwa-  
no „plugawiecką”.

Teofila Sobieska powitała synów swych, powra-  
cających po dłuższej nieobecności, temi słowy:  
„Nie znalazłbym was za synów, rzekła, gdybyście  
kiedykolwiek powrócili do domu, jak ci rycerze  
Pilawieccy”. Młodzi Sobiescy wyruszyli nie-  
zwłocznie na elekcyą, a po objęciu korony przez  
Jana Kazimierza, zajęli się uzbrojeniem pocztów  
rycerskich, odpowiednich swojemu stanowisku,  
gdyż na krótko przerwana walka z Chmielnickim  
i Tatarami miała wybuchnąć znowu. Żegnając  
synów przy grobach żółkiewskich, wnuka hetmań-  
ska wskazała im tarczę Sobieskich, umieszczoną  
nad trumną ojcowską i powtórzyła słowa matki  
Spartanki: „Albo z nią, albo na nią”. Młodzieńcy  
przysięgli nie splamić tarczy rodzinnej i dotrzy-  
mali przysięgi.

Dwaj bracia Sobiescy wyruszyli w pole w orsza-  
ku królewskim, wojsko stanęło obozem pod Zboro-  
wem. Otoczyły je wkrótce chmary Kozaków  
i Tatarów. Po dwudniowej bitwie, popłoch po-  
wstał w szeregach żołnierzy polskich, daremnie  
król sam i przedniejsi dowódcy przebiegali z po-  
chodniami w ręku pośród wojska, chcąc je uspo-  
koić, nie słuchano ich i gotowano się do sromotnej  
ucieczki. A wtém niespodzianie młody towarzysz  
pancerny rzuca się pomiędzy strwożone tłumy,  
przemawia do nich, budzi zapał i porywa siłą  
swój wymowy; żołnierze żalem i wstydem przejęci  
rzucają się do nóg króla, prosząc o przebaczenie,  
obietując walczyć mężnie do ostatniej kropli krwi.  
Tym bohaterskim młodzianem był dwudziestoletni  
Jan Sobieski. Pierwsza to była próba jego ry-  
cerskiej odwagi i dzielności. Król wynagrodził  
go nadaniem starostwa jaworowskiego, które było  
już przedtém w posiadaniu jego ojca. Jan So-  
bieski przez całe życie przenosił to starostwo nad  
inne swoje włości, nawet królem zostawszy, co rok  
je odwiedzał.

W bitwie pod Beresteczkiem Jan Sobieski był  
ciężko raniony, nieprzytomny pozostał na placu  
bitwy, zwątpiono o jego życiu! Ocalono go  
jednak, a roku następnego, gdy nastąpiła krwawa  
klęska pod Batowem, cudem prawie uszedł śmierci,  
gdyż byłby niechybnie towarzyszył bratu, lecz  
raniony w pojedynku, leżał wówczas we Lwowie  
i nie był w stanie wsiąść na koń. Dwa razy więc  
cudownie był ocalony, jak sam powiadał: „Z woli  
Bożej do innych przeznaczeń zachowany byłem”.

Odtąd nie przestał Jan Sobieski walczyć  
w obronie ojczyzny, gdzie tylko się do tego nada-  
rzyła sposobność; gromił Szwedów i Tatarów, za-  
prawiał się w sztuce wojennej pod wodzą Rewery  
Potockiego i Stefana Czarnieckiego, otrzymał też

wkrótce urząd chorążego koronnego. W czasie  
rozejmu przebywał jako zakładnik w obozie tatar-  
skim, a gdy w r. 1653 stanęła pomyślna ugoda  
z pohaństwem, jeździł z poselstwem polskim do  
Konstantynopola, a to głównie z tego powodu, że  
poseł, p. Bieganowski, był szlachcicem niezamo-  
żnym i nie miał za co wystąpić, jak należało dla  
honoru Rzeczypospolitej, w stolicy Padyszacha.  
Otworzył więc młody magnat szkatułę swoją dla  
dobra kraju i wziął na siebie utrzymanie poselstwa  
polskiego.

Taką to przeszłość, takie dzieje, rozpamięty-  
wał Jan Sobieski, złożywszy do grobu zwłoki  
matki, której nie zdołał pocieszyć po stracie uko-  
chanego pierworodnego Marka.

(d. c. n.).

## WIEŚNIACY Z POKUCIA.

Pokuciem nazywa się część Galicyi, ciągnąca  
się od gór Karpackich do Dniestru, przytykająca  
do Bukowiny i Węgier. Nazwa ta dawniej podo-  
bno wymawiana była Pokacie, od kąta, jaki ta  
przeźródleń ziemi tworzy pomiędzy Bukowiną i Wę-  
grami. Głównem miastem Pokucia jest Kołomyja.  
Górale, w wynioślejszych częściach kraju zamie-  
szkali, nazywają się Hucułami, w nizinach mieszkają  
włościanie Rusini, przedstawieni na naszej ryci-  
nie. Ubiór ich jest bardzo malowniczy. Mężczyźni  
noszą koszule z wązkiemi kołnierzykami, wyszywa-  
nemi kolorową wełną, spodnie płócienne szerokie,  
na wierzchu tak zwany sierak z czarnego sukna  
domowej roboty, zapinany na pętliczki. Sierak  
ten zwykle tylko na plecy się zarzuca, bez wkłada-  
nia na rękawy. Do tego kapelusz słomiany, u pa-  
robków przybrany w pawie piórka i plecionkę  
z drobnych paciorków, buty z wysokimi cholewa-  
mi na obcasach. Na koszuli przewieszona jest  
zwykle torba włóczkowa, na takimże pasie włóczko-  
wym szerokim. W zimie sierak zastępuje kożuch  
barani, na biało wyprawny, z czarnym baranko-  
wym kołnierzem i takąż czapką wysoką. Kożuch  
ten wyszywany jest na szwach zieloną i czerwoną  
włóczką.

Kobiety noszą także same sieraki i kożuchy,  
koszule ich, oprócz kołnierzyka, mają jeszcze sze-  
rokie wstawki haftowane na rękawach. Zamiast  
spodnic, noszą tak zwane opinki, płachty szerokie  
z kolorowej wełny, opasane krajką, czyli wełnianym  
pasem; mały fartuszek nazywa się zapaską.  
Od święta wdziewają czasem suknie granatowe,  
galonami naszywane. Na głowie mężatki noszą  
peremitki, rodzaj ręczników płóciennych wyszywa

nych, uwiązanych na sztywnéj obręczy. Dziewczęta wplatają wstążki w warkocze i przetykają je kwiatami. Na szyi zawieszają mnóstwo paciorków, więcéj daleko od mężatek.

## LISTY Z OBCEGO ŚWIATA.

Kochana Maryniu! Biorąc pióro do ręki, mimowoli z jakimś rodzajem zabobonnego przestachu przypominałam sobie ostatnie wyrazy poprzedniego mojego listu. Obym nigdy już nie donosiła wam tak strasznych wieści, choćby z najdalszych zakątków świata, pisałam wówczas. Nie przeczuwałam jednak, że tak prędko przyjdzie mi donosić o klęsce okropniejszej jeszcze od téj, która dotknęła nieszczęśliwą Ischią. Wulkany i trzęsienia ziemi rozhułały się na dobre w naszych czasach, parę lat temu zniszczenie nawiedziło miasto Zagrzeb, teraz znów śliczną wysepkę włoską, a nakoniec przed kilku tygodniami oddaloną, azyatycką wyspę Jawę. Ostatnia ta katastrofa przeszła okropnością swoją poprzednie, nigdy podobno jeszcze w czasach historycznych nie wydarzył się podobny wybuch sił podziemnych. Oto jak opisują to straszliwe zjawisko w dziennikach.

Dnia 25 Sierpnia usłyszano w mieście Batawii na Jawie huki podziemne, nie bardzo jednak związane na to, gdyż mieszkańcy tamtejsi są z tém oswojeni. Wiadomo przecież z geografii, że na wyspach Sundzkich jest kilkadziesiąt wulkanów, a z tych niektóre dość często wybuchają. W cieśninie Sundzkiej, pomiędzy Jawą i Sumatrą, leżała wysepka Krakatoa, mająca półpięty mili długości, trzy mile szerokości, szczyt jéj wulkaniczny wznosił się na 2,825 stóp ponad poziom morza. Piszę to wszystko w czasie przeszłym, jak uważasz zapewne, bo też istnienie wysepki Krakatoa należy dziś tylko do przeszłości; już jéj niema na świecie. Ale muszę opowiadać porządnie, słuchaj więc, co się dalej stało. Owe huki podziemne na wybrzeżu Jawy wzmagaly się coraz gwałtowniej i mieszkańcy zaniepokoiли się wkońcu, gdyż spostrzegli, że to zapowiada jakieś niezwykle zaburzenie w przyrodzie. O godzinie 11-éj w nocy straszliwe słupy ogniste strzeiliły naraz z kilkunastu wulkanów okolicznych, morze w cieśninie Sunda zaczęło huczeć i pienieć się, a na ziemię spadł deszcz gorącego popiołu i grad rozpalonych kamieni. Okropne się działy rzeczy, głązy te i odłamy skał, spadając z niesłychaną siłą i gwałtownością, niszczyły wszystko po drodze, gruchotały budynki, a ludzie padali, jak muchy. Gdy noc minęła, światło dzienne się nie ukazało, gdyż chmury rozpalonego popiołu zasłaniały niebo, nie

było jednak ciemno, płomienie buchających wulkanów przerażającym blaskiem rozświecały widnokrąg. Ci, którzy przeżyli tę noc okropną, ujrzeli na domiar nieszczęścia piętrzące się coraz wyżéj fale morskie, aż wreszcie wzburzone bałwany gwałtownie się na ląd rzuciły, rzekłbyś, że dwa potężne żywioły, ogień i woda, sprzysięgły się na zgubę téj krainy.

W jedném mgnienu oka powódź zalała trzy miasta i pięćdziesiąt wiosek ze wszystkiém, co w nich żyło, reszty dokonało silne trzęsienie ziemi, potoki lawy, spływające z kraterów, a nakoniec trąby powietrzne, które szalały jednocześnie raz po raz ponad morzem i wybrzeżem. Następnie ukazał się olbrzymi obłok płomienisty ponad szeregiem nadbrzeżnych wzgórz, rozszerzał się, mienił, rozrywał na szmaty, znikł wreszcie i znowu ściemniać się zaczęło.

We wtorek dopiero po raz pierwszy nieszczęśliwi ludzie, którzy nie zginęli wśród tych okropności, ujrzeli nareszcie światło dzienne i odważyli się spojrzeć na świat Boży. Wszystko dokoła nich zmieniło się strasznie; wspaniała roślinność zwrotnikowa pokryta była szarą warstwą popiołu, a cały szmat ziemi na wybrzeżu, gdzie tak niedawno ciągnęły się kwitnące wioski i ogrody, zapadł w głąb morza, fale wodne szumiały teraz i przewracały się na tém samym miejscu. Olbrzymi wulkan Maha Meru rozpadł się na siedm oddzielnych pagórków, ziejących ciągle ogniem i lawą, chociaż z mniejszą już gwałtownością.

Największe jednak natężenie straszliwego zjawiska przypadło na samą cieśninę Sunda. Wysepka Krakatoa z wysokim swym wulkanicznym szczytem znikła z widowni świata, zapadło także parę innych wysepek malutkich, a natomiast wynurzyły się z dna morskiego paszcze kilkunastu nowych wulkanów, buchających płomieniem i ciepłą rozpaloną. Latarnie morskie, ustawione szeregiem wzdłuż wybrzeży Jawy, pogruchotały się jedna po drugiej, a cała cieśnina zasypana odłamami skał, zalana potokami lawy, wody wrzącej, stała się niebezpieczną dla żeglarzy. Pośród gmachów, które wszystkie te klęski połączone zburzyły całkowicie na wyspie Jawie, wspominają starożytną indyjską świątynią Boro-Bodor, pochodzącą z VIII stulecia. Był to jeden z najdawniejszych i najwspanialszych pomników sztuki w Indyach. Gmach ten, zbudowany z kamienia w kształcie olbrzymiego dzwonu, miał 46 metrów wysokości i 103 metry średnicy, wznosił się na wzgórzu po samym środku rozległej, rozkosznej doliny. Otaczały go siedmiopiętrowe galerye, ściany zewnętrzne pokryte były dziwaczными rzeźbami, wewnątrz mieściły się potworne posągi Buddy

w liczbie 555. Wspaniałe wschody prowadziły na sam szczyt kopuły. Świątynia ta, która przetrwała lat tysiąc z okładem, rozsypała się w grzy w czasie okropnego trzęsienia ziemi, potoki lawy pokryły jej zwaliska.

Według dotychczasowych wiadomości, które mogą być jeszcze niezbyt dokładne, zginęło w tym okropnym kataklizmie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Straty majątkowe mieszkańców są nieobliczone. Wyspa Jawa z miastem stołeczném Batawią jest posiadłością Holendrów, oprócz krajowców zamieszkałą jest przez licznych osadników europejskich; grunt niezmiernie żyzny wydaje nadzwyczaj bogate roślinne płody, przezwano ją perłą korony holenderskiej. Takie ziemie wulkaniczne, podziemnymi ogniami rozgrzane, zwykle się odznaczają rozkoszną roślinnością. Mają więc i wulkany swoje dobre strony do czasu.

A mało jest okolic na ziemi, gdzieby zjawiska wulkaniczne były tak obfite, jak na wyspach Sundzkich. Pełno tam wszędzie kraterów wygasłych i czynnych, pagórków buchających szlamem i błotem, pieczar, z których się wydobywają gazy rozmaite. Sławna jest między innymi na Jawie tak zwana dolina śmierci, a nazwa to zupełnie właściwa. Jest to wąwóz obszerny i głęboko wylębiony wśród wzgórz, pokrytych najcenniejszą roślinnością. Każda istota żyjąca, która się dostanie do tej doliny, zginąć musi niechybnie, powietrze tam jest śmiertelne. Ponieważ w okolicy rośnie obficie drzewo z rodziny chlebowcowatych, zwane zatruwaczem jawańskim, *upas* w języku krajowców, które rzeczywiście sączy sok jadowity, do zatruwania strzał używany, utrzymywano więc dawniej, iż drzewo to przez same wyziewy swych liści zatruwa powietrze dokoła. Są to jednak bajeczki, powietrze w dolinie śmierci zatrute jest podziemnymi gazami, które się wydobywają sposobem niewidzialnym, gdyż, jak twierdzą podróżnicy, nigdzie tam niepodobna dopatrzeć żadnej szczeliny w gruncie, żadnych obłoczków pary lub dymów. Dno wąwozu utworzone jest z twardej, nagiętej skały, pozbawionej roślinności. Prerażający widok przedstawia się śmiałkom, którzy z pagórków okolicznych odważają się wgląd wzrok zapuścić. Bieleją tam kości ptaków, zwierząt czworonożnych, a nawet i kości ludzkie. Podobno dawniej zapędzano do tej strasznej doliny przestępców, na śmierć skazanych. Krajowcy nazywają dolinę śmierci Grewo-Upas, z powodu owej baśni o drzewie *upas*, w którą dotychczas wierzą.

Ale muszę już kończyć, bo i tak za długo się rozpisałam; bywaj mi zdrowa, siostrzyczko,

kochająca

Jadzia.

## POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

Pomimo łowieckich trudów swoich, nigdy młodzi myśliwi nie mieli zwyczaju nadużywać mocnych trunków, to też i teraz napróżno zachęcał ich do tego gospodarz i jego małżonka. Wieczera była wyborna, jakkolwiek pan domu uprzyjemniał ją trochę zanadto swemi nieskończonymi opowiadaniem. Pocziwiec nie często miewał zapewne sposobność takiego wygadania się, i dla tego młodzi myśliwi sądzili, że najlepiej mu się odwdzięczą za serdeczne przyjęcie, słuchając go cierpliwie. Siedziano więc do późna w noc przy stole.

Rozmowa przeszła jednak na przedmiot bardzo nieprzyjemny.

— Mocno mię to trapi — rzekł gospodarz po licznych libacyach — że wy pozyskujecie nagrodę naznaczoną za dostawienie dwóch młodych giraf. Moi bracia i brat mojej żony muszą jej się zatem wyrzec. Martwi mię to ze względu na nich.

Te wyrazy wymagały objaśnienia, o które też myśliwi poprosili i dowiedzieli się, że dwaj bracia i szwagier boera pojechali na północ przed kilku tygodniami, w celu schwytania dwóch młodych giraf i wymienienia ich na obiecane pięćset funtów sterlingów. Mieli oni zamiar zwiedzić kraj Bakuanów i wzięli ze sobą w charakterze tłumacza pewnego krajowca z tego plemienia. Właśnie spodziewano się ich powrotu.

Bardzo to było prostą rzeczą, że boer lepiej życzył swoim krewnym, niż obcym ludziom, a otwartość jego w tym względzie była zapewne skutkiem nadmiernego użycia trunku.

Stary zegar holenderski, wiszący w kuchni na ścianie, wybił już drugą z północy, gdy myśliwi, dawno snu potrzebujący, mogli się nareszcie oddalić. Zaprowadzono ich do obszernej sali i usłano miękkie, wygodne łóżko dla każdego. Zdawało się, że trudy podróże minęły bezpowrotnie, kiedy można było rozciągnąć się na tak rozkosznym posłaniu i nie pod sklepieniem niebios gwiazdistych.

LXIV

T a j e m n i c a.

Dopiero o dziesiątej rano Hans otworzył oczy i zbudził swych towarzyszy.

— Co za wstyd! — zawołał William, ubierając się śpiesznie — Zaspaliśmy, jakbyśmy się popili.

— Nie, odrzekł Hans, rozumując po swojemu, — przeciwnie, możemy powinszować sobie, że ta mała ilość trunku takie wywarła na nas skutki. Jest to dowodem, że nie przywykliśmy do odurzających napojów. Nasza trzeźwość zaszczyt nam czyni, starajmy się ją na zawsze zachować.

Boer i jego małżonka czekali z doskonałym śniadaniem na swych gości. Wszyscy zasiedli do niego, prócz Williama, który przedewszystkiem poszedł obejrzeć swoje ukochane girafy.

Wszedłszy do chaty, w której nocowali słudzy, William ujrzał smutny obraz skutków niewstrzeżności. Czterej Makololosy tarzali się po ziemi jęcząc, jakby mieli duszę wyzioną. Facetan i Kongo, bardziej nawykli do mocnych trunków, chrapali potężnie, zdobywając sobie tym snem równowagę sił, nadwężoną wieczorną pijatyką. William rozbudził ich prędko, ale nic na świecie nie potrafiło oprzytomnić Makololosów. Kongo zerwał się na nogi i trzymając głowę obu rękami, jakby jęć unieść nie mógł, wybiegł, chwając się, z chaty. William wyszedł za nim, przekonawszy się, że żadna siła nie rozbudzi Makololosów przez kilka godzin jeszcze. Zbliżając się do szopy, w której przywiązano girafy, ujrzał Konga nieruchomego, jak słup, z wytrzeszczonymi osłupiałymi oczyma, z otwartymi ustami, z przeciągniętą twarzą, istny obraz rozpaczliwego zdumienia. William nie potrzebował pytać, jeden rzut oka mu wystarczył: girafy znikły.

Buszman i Kafr mieli przy nich czuwać kolejno; po pijanemu zapomnieli o wszystkim.

Bez słowa gniewu lub wyrzutu, William zaczął się namyslać. Słudzy boera może uprowadzili girafy w miejsce bezpieczniejsze; taką była iskierka nadziei. Ale jeżeli je skradziono? Jeżeli same uciekły?

W pierwszej chwili rozpaczy miał przeciwiejsze William tyle rozumu, że sobie samemu winę przypisał. W istocie niemniej on był niedbalym, jak ci dwaj ludzie, stojący teraz przed nim, jakby rażeni piorunem. Czyliż William nie powinien był sam osobiście czuwać nad szacownymi zwierzętami?... Dla wieczery zaniedbał on swojej powinności. Czyliż nie powinien był jeszcze przez dni kilka pozostać baczny i czujny, jak dotąd? On sam był najwinniejszy, zasłużył na to nieszczęście.

Pięć minut poszukiwań w szopach i chatkach dowiodło zupełnego zniknięcia giraf. A więc, trzeba je było odnaleźć. Rozkazawszy Kongowi i Facetanowi zebrać szczegółowe poszlaki, nasz myśliwiec, podobny do zranionego dzika, wpadł do domu, aby zawiadomić swych towarzyszy o nowo zaszłym nieszczęściu.

Apetyt znikł w obec tej nowiny. Porzucając śniadanie, tak starannie przygotowane przez małżonkę boera i jej sługi, młodzi myśliwi rzucili się do pustej szopy, gdzie wczoraj umieszczono girafy. Gospodarz szedł za nimi, oświadczając gorąco współczucie swoje i zaręczając, że wraz ze wszystkimi sługami gotów jest poświęcić miesiąc czasu na pomaganie myśliwym w poszukiwaniu straconych giraf.

— Wszystkiemu temu winna wódka — mówił — moja służba za wiele piła tej nocy. Nie będzie tego więcej! Porozbijam własną ręką wszystkie beczułki, i więcej ich nie kupię!

Jedna girafa była przywiązaną do słupa, na którym wspierała się w części sama szopa: ten słup wyrwany był, i z ziemi, i z wiązań daclu, i leżał na ziemi o sześć kroków od właściwego miejsca swego. Dwie belki sąsiednie także wyrwano, co razem tworzyło przerwę dostateczną do wyjścia zwierząt. Może silne zwierzęta potrafiły same wyłamać zagrodę, a rzemienie, któremi były uwiązane do słupów, ciągnęły ten słup za niemi aż zsunęły się w końcu z niego. W ten sposób można było wytłomaczyć ucieczkę. Było to proste, a jednak dziwne. Myśliwi pewni byli, że girafy oddawna przestały się silić o odzyskanie swobody. Tém mniej jeszcze można było podejrywać je o zamiary z góry obmyślane. W każdym razie nie było giraf, a więc trzeba je było odszukać.

Kongo zabierał się do poszukiwań, acz z niewielką nadzieją pomyślnego skutku. Deszcz padał przez całą noc, zacierając ślady tak, że ich nawet Szukaj nie był w stanie odnaleźć. W sąsiedniej szopie zamknięto na noc przeszło pięćset sztuk bydła, które o świcie zagnano znowu na pastwisko. Grunt był więc zdeptany na wszystkie strony mnóstwem kopyt. Całą godzinę upatrywano wśród nich śladu giraf, a gdy go odkryto, poprowadził on myśliwców do szopy, w której girafy na noc zamknięto.

— Henryku! — zawołał William w pół nieprzytomny z rozpaczy. — Te girafy muszą przecież znajdować się gdziekolwiek! Co czynić? Musimy je koniecznie odnaleźć!

— Przebiegły z pewnością w jakimś nieznanym kierunku — odrzekł Henryk. — Gdybyśmy też próbowali pogonić je w kierunku Graaf-Reinet?

William aż zadrżał z rozpaczy na tę radę, w której widział dowód wstępu swych towarzyszy do wszelkich opóźnień w podróży.

Boer ofiarował znowu serdeczną pomoc swoje, swych ludzi i koni, z tym jednym warunkiem, że myśliwi wskażą kierunek, w którym uszły girafy.

Wtedy Hans odważył się wystąpić ze zdaniem, którego William wysłuchał wzruszając ramionami,

ale uznał za jedynie rozumne, jakie dotąd usłyszał.

— Nasze uwięzione girafy — mówił myślący młodzian — prawdopodobnie skorzystały ze sposobności do ucieczki. Oczywiście stało się to na skutek działania pewnego instynktu; sądzę, że instynkt musiał je więc skierować ku stronom rodzinnym. Jeżeli postanowimy ich szukać, to powinniśmy szukać tam, z kąd przybywamy.

— Ależ, moje dzieci — rzekł Boer — jeżeli girafy uciekły, to niema po co gonić za nimi. Z pewnością za prędko będą biegły, aby je ktokolwiek zdołał dopędzić.

Henryk i Arend przyznali słuszność mówiącemu.

— Kongo! czarny łotrze! — krzyknął William — gdzie są nasze girafy? Gdzie ich szukać? Mów!

Kongo strapiiony potrząsł tylko głową. William, mając wielkie zaufanie w zdolnościach Konga, nie poprzestał na tej odpowiedzi.

— Jak myślisz, czy dobrze będzie gonić w kierunku, z którego przybywamy? — pytał.

Kongo powtórnie potrząsł głową z wyrazem wątplenia.

— Szaleńcze! — krzyknął zrozpaczony myśliwiec — czy ty mi odpowiesz? Nie trzęś tą głową szkaradną, bo ci ją roztrzaskam!

— Ja nie myślę teraz nic, panie Williamie — rzekł Kongo. — Moja głowa pusta. Niema w niej myśli, nie ma nic.

Henryk miał ochotę powiedzieć, że pod tym względem w tej chwili nie wiele różniła się głowa Konga od głowy jego pana, ale powstrzymał się, aby do reszty nie udręczać Williama. Zrobił tylko uwagę, że w każdym razie lepiej byłoby działać, niż rozprawiać.

— Hansie! — zawołał William — pozostań tutaj i czuwaj nad pakami i zwierzętami. Inni niech jadą ze mną, jeśli chcą; ale jeśli chcą, to niech siadają na koń natychmiast. Ja ruszam.

Tak mówiąc, William pobiegł do stajni, osiodłał konia w mgnieniu oka, skoczył nań, i odjechał.

## LXV.

## Mylny ślad.

Henryk i Arend pojechali za nim. Co do boera, ten, tak pochopny do obietnic, zabierał się tak leniwie do ich spełnienia, że nie było co na niego liczyć. Utrzymywał stale, że niepodobieństwem było odgadnąć, w jakim kierunku zbiegły girafy, i że dzieciństwem przeto było szukać ich na północy, kiedy one mogły właśnie znajdować się na południu.

Ku ogólnemu zdziwieniu, Kongo nie pojechał za swoim panem. Przywiązanie Kafra do Williama było tak wielkie, tak niechętnie zwykle puszczał pana swego, że obecne to postępowanie zdziwiło wszystkich, znających te okoliczności. Nikt jednak nie uczynił mu najmniejszej uwagi, wiedząc, że Kongo, aby być po swojemu użytecznym, potrzebował swobody. Uznając jego przywiązanie i werność, ufano mu całkowicie.

— Wyjechawszy o milę lub dwie poza osadę — mówił Henryk — będzie można odnaleźć ślad giraf. Niema co i szukać ich wprzódy. Ale wypuścimy, że odnajdziemy trop prawdziwy, cóż będziemy wtedy czynić, Williamie?

— Pojedziemy za tropem, dopóki nie odnajdziemy zbiegłych zwierząt — odpowiedział William. Nie miałbym nadziei, gdybym nie wiedział, jak bardzo są przyswojone. Prędzejbym był uwierzył, że mój własny koń ucieknie odemnie, niż one. Potrzeba nam tylko trochę wytrwałości, a pewien jestem, że je odnajdziemy. Odnalezione zaś, nie będą z pewnością uciekać, zaręczam.

Przyswojenie giraf w istocie nie ulegało wątpliwości. Henryk i Arend, nie odpowiedziawszy ani słowa, wypuścili tylko swe wierzchowce do biegu. Przebywszy grunta w bliskości osady, strastowane kopytami domowych zwierząt, znaleźli się nasi myśliwi na tejże samej drodze, którą przybyli wczoraj. Na przestrzeni jednej mili bacznie szukali tropu giraf, lecz nie znaleźli nic podobnego do śladu stóp tych zwierząt. Deszcz zatarł nawet ślady ich własnego przejścia od wczoraj. Ze względu więc, że na tak świeżym gruncie doskonale właśnie powinny były odcisnąć się wszelkie ślady nocne po deszczu, myśliwi osądzili, że girafy nie przeszły tamtędy.

Po długiej, burzliwej naradzie, na której zdanie Williama było stanowczo przeciwne zdaniu towarzyszy, postanowiono zbadać ściśle całą okolicę, której środkowym punktem była siedziba boera. W taki sposób musiały już koniecznie odnaleźć się ślady zwierząt zatraconych. Obszar gruntu, poddany badaniu, było to dość nędzne pastwisko. Co chwila dostrzegano jakiegoś tropu, kłękano na ziemi, aby go rozpatrzyć z bliska i dokładnie. Wszystko to zabierało bardzo dużo czasu. William szalał z rozpaczy na myśl, ile go zyskiwały tym sposobem uciekające zwierzęta. Po dwóch godzinach ciężkiej pracy, znaleziono nareszcie niezaprzeczony trop girafy. Był zupełnie świeży, nie wcześniej, jak przed dwiema godzinami mógł być wyciśnięty. Z okrzykiem radości William zajął się jego śledzeniem.

## Zadanie konikowe (K. R.).

cam	ziem	wie	ją	ściój	bo	kne	wszy
wzru	za	rzu	co	tkli	stko	czę	sze
skie	zie	we	wszy	roz	pło	ca	pię
chwy	sza	w nie	ną	tkli	zie	ko	mni
mi	wzno	stko	lo	skie	w niem	sza	ni
bi	ca	bie	bo	jak	ny	cie	tko
szę	co	od	mo	na	o	kry	du
Świat	ja	lza	nie	brzeg	ja	kró	ko

## Łamigłówka zgłoskowa (Z. P.).

Uczeń kosi paki koty ona.

Z tych samych liter, przedstawiając je tylko, ułożyć znane przysłowie.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 39-go.

## Szarady:

Mi — cha — li — na.

## Łamigłówki zgłoskowej:

Jabłonowski

Ów

Załuski

Eden

Fryc

Siedlce

Zenon

Unstrut

Inocenty

Syrop

Kakao

Izmael

Józef Szujski i Wincenty Pol.

## Odpowiedzi od Redakcyi

Julci K. Dwa listy poprzednie zapewne na poczcie zaginęły, gdyż żaden ręk naszych nie doszedł. Przykro nam to bardzo, nigdy bowiem liścików kochanych prenumeratorów naszych nie pozostawiamy bez odpowiedzi, zwłaszcza

jeśli zawierają jakie zapytania lub żądania. Historia polska Zdanowicza (nowe wydanie) kosztuje z mapką rs. 1 kop. 80. Gramatyka Kamockiej 60 kop. Rozbitki na wyspie Auckland r. 1 k. 50. Wszystkich, którzy nadesłali rozwiązanie zagadki historycznej, prosimy o cierpliwość, zwykle bowiem przeznaczamy na to kilka tygodni, aby i dalsi prenumeratorzy mieli dość czasu na napisanie i przesłanie swoich wypracowań.

**Melańci B.** Nie potrafimy już teraz wyjaśnić, jakim sposobem zaszła taka pomyłka, iż w miejscu liter M. B. wydrukowano przy łamigłówce litery W. P. Stało się to zapewne w skutek nieuwagi osoby, przepisującej kilka łamigłówek na raz, za co w jej imieniu kochaną korespondentkę przepraszamy. Prosimy o przysłanie innych łamigłówek, przy których już właściwe litery będą dodane. Braciszкови, który z takim zajęciem czytał „podróż Adasia i Zosi“ serdeczne zaszyliśmy uściśnienie i prosimy, aby sam liścik do nas napisał.

**Siostrzyczkom z Welezina.** Wszystkie łamigłówki już były drukowane, ze zmianami koniecznymi. Nie wątpimy, że teraz kochane nasze współpracowniczki nabrały dostatecznej wprawy i nadesła nam wkrótce nowy zapas, nie potrzebujący zmian, ani poprawek. Niezadługo podamy parę nowych wzorów, aby i ten dział był jaknajbardziej urozmaicony.

**Emilce S.** Najlepszą odpowiedzią jest rozpoczynająca się dziś powieść z angielskiego. Dotąd nie mogła być drukowana jedynie dla braku miejsca, musieliśmy bowiem ukończyć wprzód rozpoczętą powieść. Zaraz po dokończeniu podróży, co już niezadługo nastąpi, rozpoczniemy oryginalną powiastkę polską. Niech kochani czytelnicy obejrzą uważnie swoje Pisemko a przekonają się, że niepodobna więcej miejsca poświęcać na powiastki. Trzebaż koniecznie obok nich zamieszczać i poważniejsze rzeczy, a zanałto mamy dobre wyobrażenie o naszych czytelnikach, abyśmy mieli sądzić, że przedmioty historyczne i naukowe mniej się im podobają od podróży i powiastek.

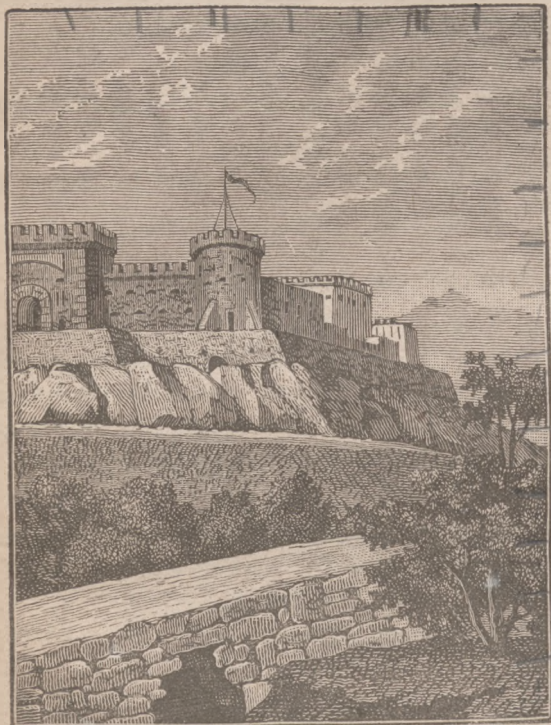
**Kaziowi R. w Wilnie.** O nowych książkach dla młodzieży podamy obszerną wiadomość w Grudniu, gdyż w tej porze świeże wydawnictwa gwiazdkowe ukazują się w handlu. O grach i zabawach doniesiemy także, jeżeli się co nowego ukaże, o dawniejszych pisaliśmy już niejednokrotnie. Dla dzieci od 9 do 12 lat możemy polecić wyborną książeczkę „Na letniem mieszkaniu, p. Wł. Nowickiego“. Stali nasi prenumeratorzy znają dobrze to opowiadanie, które było kiedyś w Piśmie naszym drukowane.

**Antosiewi R. we Lwowie.** Radziliśmy zadowolnie wszystkim naszych czytelników i dla tego staramy się Pismo nasze jaknajbardziej urozmaicać. Największą jednak przyjemność sprawiają nam ci, którzy się upominają o opowiadania historyczne. Piękne to bardzo upodobanie i dogadzając tym chwalebnym życzeniom, będziemy podawali takie opowiadania, częścięj jeszcze niż dawniej. Drukujące się obecnie dzieje króla Jana Sobieskiego, przeciągną się zapewne do końca roku, ale obok nich znajdziemy miejsce i na inne historyczne rzeczy.



# WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



## ROZMÓWKA.

*Andzia.* Moja Mamo, co to znaczy homonimy? Była kiedyś w Wieczorach Rodzinnych taka zagadka, ale ja nie mogłam jej zrozumieć. Dla czego ona się tak dziwnie nazywała?

*Mama.* Popatrz na ten obrazek i powiedz mi, co tam na nim widzisz.

*Andzia.* To jest jakiś zamek.

*Mama.* A teraz patrz, co to ja kluczem odmykam u szuflady?

*Andzia.* Zamek, Mamuniu. Ale to doprawdy zabawnie; i to zamek i to zamek, a jedno do drugiego wcale niepodobne.

*Mama.* Otóż widzisz, te dwa wyrazy, zupełnie jednakowe, z tych samych liter złożone i wymawiane tak samo, zamek i zamek, to są homonimy.

*Andzia.* Kiedyż to nie dwa wyrazy, Mamuniu, ale jeden.

*Mama.* Wyraz jest rzeczywiście jeden, ale ma dwa znaczenia bardzo rozmaite, musisz koniecznie powiedzieć: ten zamek na obrazku, ten zamek u szuflady, bo inaczej nie będę wiedziała, o którym mówisz. Wskazując te dwa przedmioty, powtórzysz wyraz zamek po dwakroć, tak więc nie jeden, ale dwa wyrazy wymówisz.

*Andzia.* Już wiem, co to znaczy homonimy, ale jest jeszcze inny podobny wyraz i także go nie rozumiem: synonimy, co to znaczy, Mamuniu?

*Mama.* To znów co innego. Ten zamek moglibyśmy nazwać także twierdzą, a tak dwa wyrazy odmienne, oznaczają jeden przedmiot. Otóż zamek i twierdza to są synonimy.

*Andzia.* Już wszystko rozumiem. Teraz będę sobie przypominała różne homonimy i synonimy.

Może i inne dzieci, przeczytawszy tę rozmówkę, także wyliczą znane sobie homonimy i synonimy.

## JABŁUSZKO.

— Antoś niegrzeczny, moja Mateczko,  
Zawsze złośliwe jakieś słoweczko  
Lubi powiedzieć; lecz gdy zobaczy,  
Że mam przysmaczki... o! to inaczej  
Przemawia do mnie; właśnie dla tego,  
Choć mam jabłuszka, nie dam żadnego,  
Na złość mu zrobię, zjem wszystkie sama! —  
— O! nie rób tego! — wyrzecz Mama,  
— Trzeba złe dobrém odplacać w świecie,  
Bo tak Bóg kazał, kochane dziecię.  
Kiedy braciszek niegrzeczny, duszko,  
To ty bądź lepszą: daj mu jabłuszko!

*Helena Bojarska.*

# PUDEŁKO CUKIERKÓW

KOMEDYJKA W 1 AKCIE.

(Naśladowana).

(Dalszy ciąg).

SCENA V.

ADELICIA. — WŁADZIO.

WŁADZIO.

A to posłuszna córeczka, aż miło.

ADELICIA.

Cóż tak dziwnego! I ja także będę słuchała Mamy we wszystkim.

WŁADZIO.

Bardzo pięknie! Ale ja ci powiem, że mnie daleko przyjemniej z tobą, niż z Marynią. Ta Marynia taka nudna, tak mnie często łąje...

ADELICIA.

Doprawdy? mnie nigdy!

WŁADZIO.

Może być... jednak mojem zdaniem jest ona zanadto doskonała... żeby kiedy zasłużyła na karę... nigdy! przynigdy!... Ale pośmiejmy się trochę, poswawolmy, dalej...

ADELICIA.

Ej, Władku, mnie się coś zdaje, żeś ty wielki figlarz, wielkie nic dobrego.

WŁADZIO.

Cóż znowu! To prawda, że zbytnik ze mnie nielada! Dokazuję, jak tylko mogę największą, sprzeciwiam się czasami profesorowi, nie uważam przy lekcji, jestem ogromnie łakomy, ale temi wadami nie szkodzę ani innym, ani sobie. Ręczę, że Tatko był taki sam w moim wieku, choć się dziś do tego nie przyznaje. W gruncie jednak najlepszy ze mnie chłopak pod słońcem i bardzo z siebie zadowolony.

ADELICIA (*grożąc mu*).

To mi się jakoś nie bardzo podoba!

WŁADZIO.

Co, i Adelia ma ochotę mnie łącać? Nie do twarzy ci z tą groźną minką. Ot lepiej byś ze mną poswawoliła troszkę, pobawiła się... naprzykład w chowanek... w kregle... ale co widzę?... pudełko z cukierkami!... o, muszę je dostać! (*bierze krzesło i chce wejść na nie, by dostać pudełko*).

ADELICIA (*wstrzymując go*).

Władziu, nie ruszaj, nie można!

WŁADZIO.

Dla czego?

ADELICIA.

Mama nie pozwoliła...

WŁADZIO.

Wszak to twoje...

ADELICIA.

Tak... ale...

WŁADZIO.

A więc masz prawo do nich.

ADELICIA.

Żadnego... zostaw je, proszę...

WŁADZIO (*trzymając pudełko w ręku*).

A! mam was nareszcie! Jak pachną! Muszą być wyborne! Zbliźno się, Adeliu.

ADELICIA.

Nie! nie chcę! postaw je tam, gdzie stały.

WŁADZIO.

Przecież patrzeć, to nie jest toż samo, co jeść.

ADELICIA.

Prawda!... co za zapach!...

WŁADZIO.

No, skoro nie chcesz ich dotknąć, pozwól przynajmniej, żeby przy nas stały i żebyśmy jaknajdłużej cieszyć się mogli ich miłym zapachem... Ale, w co się bawić będziemy?

ADELICIA.

Nie wiem, doprawdy, żadnej gry nie mam w tej chwili.

WŁADZIO.

Może w cet i lizkę?

ADELICIA.

Kiedy nie mam orzechów.

WŁADZIO.

Te cukierki mogłyby je doskonale zastąpić (*otwiera pudełko*).

ADELICIA.

Władziu! co robisz!

WŁADZIO.

Jeść nie będziemy, choć to wielka szkoda. Muszą być wyśmienite! Co za zapach! co za zapach.

ADELICIA.

O, niezawodnie są doskonałe! Ale dla tego właśnie lepiej nie patrzeć na nie.

WŁADZIO.

To prawda... jednak, Adeliu... gdybyś tak skosztowała jeden cukierek, wiedziałabyś dopiero, co to jest wyrzec się ich wszystkich! Poświęcenie twoje nabrałoby większej wartości, miałabyś dopiero zasługę prawdziwą.

ADELICIA.

Nie. Władziu, za nic w świecie!

WŁADZIO.

Patrzno, jaki ten ładny! aż ślinka do ust idzie. Ale widzę, że potrzeba dać ci dobry przykład (*bierze jeden cukierek i kładzie go do ust*).

ADELICIA.

Ach, Władziu!

WŁADZIO.

Przewyborny! Wyśmienity!

ADELICIA.

Wiesz co, masz chyba słusność. Byłaby to prawdziwa męka, gdybym tak sprobowała zjeść jeden cukierek, a na resztę tylko pa-trzeć musiała.

(D. c. n.)

### Nieposłuszna panienska poprawiona.

Raz czubata kokoszka wyhodowała pomiędzy własnymi kurczątkami parę maleńkich kaczątek. Dopóki dziatwa ta wszystka razem siedziała w dużym garnku pełnym pierza, w jakim zazwyczaj umieszcza gospodyni świeżo wylęte pisklęta, dopóty wszystko było dobrze.

Ale wkrótce gospodyni powymnowała je z garnka, a czubata kokoszka, pełna dumy i radości z tak licznej, pięknej i grzecznej dziatwy, zgromadziła ją koło siebie i wytoczyła się gromadnie na podwórze. Na podwórzu był mały staw, więc natychmiast kaczątko wybiegły z pomiędzy kurcząt i skoczyły do stawu, i pływać zaczęły kaczym zwyczajem.

Na taki widok kura czubata krzyknęła z przestrachu i nie mogąc sama iść w wodę za kaczątami, bo kura nie umie pływać, zaczęła z całych sił krzyżeć, wołając ludzi na pomoc. Ludzie przybiegli, a najprzód przybiegła Antosia z Ciocią. Antosia ugłaskała i uspokoiła kokoszkę czubatą, o ile było można, ale trudna była na to rada, bo kaczątko musiały pływać po stawie, a kura nie mogła.

Musiała się tedy kłopotać biedaczka po całych dniach, patrząc na pływające kaczęta, a sama chodząc ze swemi rodzonemi kurczętami koło stawu, choć nie bała się już tak okrutnie, jak z początku, gdy sądziła, że się jej wychowańcy potopią. Antosia często przychodziła nad staw i użalała się nad tym kłopotem czubatęj kokoszki.

— Moja Ciociu — rzekła raz dziewczynka — dla czego też ta biedna kura podjęła się takiego kłopotu i wychowuje te kaczęta?

Ciocia popatrzała na Antosię i rzekła:

— Jak myślisz, dla czego też to ja wzięłam ciebie z miasta od Mamy i podjęłam się przez lato takiego kłopotu, jaki mam z tobą, gdy mimo zakazu biegasz do stodoły, gdzie są maszyny, młocarnia i siewkarnia, a ja drzę i rozpaczam co chwila, czy ci się co złego nie stało, bo wiesz przecie, że maszyna może rękę urwać, albo i zabić człowieka.

Antosia z wielką uwagą wysłuchały tych słów Cioci, i zdziwiła się, i zmartwiła bardzo, bo chociaż już nieraz jej Ciocia zakazywała chodzić do stodoły, gdzie są maszyny, to przecie teraz dopiero jakoś zrozumiała zmartwienie i kłopot dobrej Cioci z przyczyny jej nieposłuszeństwa.

— Już nigdy ani krokiem nie pójde tam, gdzie Ciocia droga nie każe! — krzyknęła po chwili ze łzami w oczach Antosia i uściskała Ciocię.

### JÓZIA W KRAINIE LALEK,

wyjątki z listów małej podróżniczki.

(Dalszy ciąg).

Ale Józio nie chodziło wcale o te stopy subarwnej porcelany, które zachwyciły Mamę, tylko o mnóstwo barwistych Chińczyków, smoków skrzydlatych, słoni, i Bóg wie jakich potworków, wyskakujących ciągle na wszystkie strony i kryjących się znowu w stosach tej porcelany, wszystko to piszczące, ruszające się, i niby wyraźnie żywe, choć łatwo zgadnąć, że było porcelanowe. Najzabawniej wyglądał w górze nad tém wszystkiém wizerający z po za stosu talerzy Chińczyk duży, bogato w porcelanowe szaty ubrany i bezustannie kiwający głową na obie strony, z rękami w szerokich rękawach, jakby się czemuś okrutnie dziwo-wał... Miał on taki śmieszny wyraz twarzy, że aż Tatka rozśmiał się i przystanąwszy wraz z Józją, potwierdził, co powiedziała Mama, że tu koniecznie trzeba będzie powrócić.

Takich całych na pozór ruszających się sklepów z porcelaną było sporo jeden przy drugim, ale nie zatrzymano się przy żadnym, bo panie dążyły pod przewodnictwem pani Poncet do sklepów z towarami na odzienie, gdzie Mama miała robić sprawunki. Sprawunki te głównie były dla Józji, gdyż wiadomo, jak wyrastające dzieci potrzebują często odświeżać ubranie, zwłaszcza (wedle starego przesądu) gdy się dobrze uczą, gdyż wtedy mają rosnąć najchżyżej. W podróży zresztą

na ciasnym statku parowym, gdzie płaci się drogo za miejsce, każdy oczywiście stara się brać jak najmniej pakunków. Z tych więc przyczyn potrzebowała Mama Józia porobić sprawunki w sklepach, a tam już nie pan Poncet, tylko pani Poncet przewodniczyła, jako znająca się na rzeczy. Szło się tedy do sklepów wprawdzie powoli, ale nie ustając, długą, szeroką ulicą, a zawsze po jednej tylko jej stronie, aby tę poznać cokolwiek, a za powrotem dopiero miało się przechodzić drugą stroną.

— Aj! — krzyknął w tém ojciec Józia, Józia spojrzała, i już tylko ręce złożyła w milczeniu, z podziwu, ujrzawszy to, na co ojciec patrzył zdumiony. A było to znowu cacko tylko, lecz cacko przeznaczone prawdopodobnie na uciechę jakich królewiczów, potężnego państwa dziedziców, gdyż niesłychanie było kosztowne. Był to okręcik wielkości sporęj wanienki podłużej, w jakiej dzieci bywają kąpane. Pływał on istotnie w dużem naczyniu, już samo przez się bardzo kosztownem, bo porcelanowem przepyszniem, które stało u wejścia do sklepu, jakby na zachętę przechodzących ludzi. Okręcik cały zrobiony był z pachnącego drzewa, porcelany, laki i złota; nie jak dzisiejszy parowiec, ale tak, jak dawniejsze okręty masztowe z mnóstwe lin, rci, masztów, żagli, drabinek i przeróżnych przyrządów i szczegółów koniecznych dla takiego okrętu, a wyrobionych tak dokładnie, mimo drobnych rozmiarów, że, jak się wyraziła znająca się na rzeczy Józia, można było „ze wszystkiem się zapomnieć znowu,“ patrząc na to.

Ale nie dosyć na tém, trzeba jeszcze wiedzieć, że okręcik ów przedstawiony był w chwili gwałtownej burzy, z którą walczyło kilkanaście drobniutkich figurek, przedstawiających załogę okrętową, rozsypaną po całym statku i wypełniającą na głos stojącego na pokładzie kapitana wszystkie niezbędne w takich razach manewra. Stało to wszystko zrazu spokojnie, ale jak tylko Józia z ojcem zwrócili na okręcik uwagę, zaraz kupiec z głębi sklepu przystąpił do okręciku i dotknął go tylko, a wnet okręcik zaczął bujać się na wzburzonej nagle wodzie i cała jego z maluteczkich ludzi złożona załoga rzuciła się do pracy, ratując zagrożony i wodą zalewany swój statek...

Józia powiada nareszcie, że o tém wszystkiem, co widziała w Yeddo dnia owego, najlepiej nic nie mówić, ponieważ słów brakuje do wypowiedzenia wszystkiego...

— Teraz pójść musimy w tę stronę, — rzekła pani Poncet i skierowała się wraz z Mamą Józia w bok z owej ulicy cacek w drugą. Ta druga ulica była na pozór, z daleka, bardzo do tamtej podobną, bo taka sama była szeroka, czysta, ślicznie wyłożona gładkimi lecz nie śliskimi kamykami, tak samo pełna była ludzi, biegnących w różne strony, z wrawą wesołą i ze śmiechem, a bez żadnych potrzącań, i tak samo po obu jej stronach ciągnęły się dwa rzędy sklepów błyszczących i jaśniejących towarem różnokolorowym, a rozwartych na wszystkie strony, z daszkiem tylko na czterech bambusach opartym.

(D. c. n.).

### Zagadka.

Co to za rzecz taka, różnokolorowa, Czasem bardzo dźwięczna, gdy o takiej mowa, Czasem pracowita, gdy mowa o żywej, Przypomina zawsze lud wiejski i niwy, Jest graną, wełnianą, bywa ogrodniczką, Może być dziewczyną, operą, spodniczką...

### Lamigłówka.

Ułożyć 8 wyrazów trzygłoskowych i wypisać jeden pod drugim, tak, aby środkowe litery utworzyły wyraz Warszawa. Znaczenie wyrazów: 1. Liczba. 2. Zabawa. 3. Bryła lodu. 4. Zwierzęta domowe. 5. Oznaka smutku. 6. Część ubrania. 7. Zwierzęta drapieżne. 8. Drzewa.

Rozwiązania do N-ru 39-go:

### Zagadki:

R z e k a D ł u g a.

### Lamigłówki w kwadraciku:

Z U P A.  
U R A L.  
P A R K.  
A L K A.